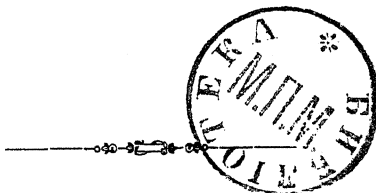


Piotr Loti.



# MARYNARZ.

(MATELOT).



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

**Teodora Paprockiego i S-ki.**

41. Nowy-Świat 41.

—  
1894.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 6 Августа 1893 г.

## I.

Dziecko przebrane za aniołka, — a więc na wpół obnażone, w koszulce cienkiej i z dwoma białymi skrzydłami gołębiemi u ramion... Było to na pełnym słońcu południowego czerwca, w dalekiej Prowancyi, na pograniczu włoskiem. Dzieciak postępował zwolna w procesyi, w towarzystwie trzech innych aniołków, — jasnowłosych chłopaczków, którzy szli z poważnie spuszczone-  
mi ku ziemi oczami, przejęci bardzo swoją rolą. On, mały Janek o włosach bardzo czarnych i całych w puklach, najpiękniejszy i najstarszy z tej gromadki, rzucał spojrzenia na prawo i lewo, przyglądał się ciekawie tym, którzy z nabożeństwem klękali na drodze przed procesyą, niezambarasowany niczem i z błyskiem widocznej chęci do zabawy w oczach. Wyglądał czerstwo i zdrowo z tą swoją cerą owocu przyzłoczonego, rysami prawidłowemi i brwiami jak dwie wstą-

zeczki czarnego aksamitu. Jego spojrzenie, otwarte i wesołe wydawało się jeszcze młodszem od jego lat sześciu czy siedmiu, a błękit jego oczu, otwartych szeroko między długimi rzęsami, wzbudzał podziw patrzących na tę twarzyczkę młodego Araba.

Jego rodzina,—matka-wdowa, w żałobie jeszcze, ale już bez długiego welonu czarnego, i dziadek-staruszek w czarnym surducie i krawacie białym,—śledziła Janka z oddali, w tłumie zamieszana, i, słysząc pochwały dla piękności chłopak, posyłała mu uśmiechy pełne zadowolenia i dumy.

Niebardzo im się powodzi—tej mamie i temu dziadkowi; nie mają nic więcej oprócz domeczku małego w mieście i małego skrawku pola obsadzonego pomarańczami i różami; otoczeni są zresztą w tym kącie Francyi przez ludzi zamożniejszych, którzy mają dużo ziemi lub też są fabrykantami perfum—i którzy trochę nimi pomiatają. Nazywali się oni Berny i stanowili rodzinę bardzo rozgałęzioną w tej okolicy, o krwi czystej, nieskrzyżowanej przynajmniej od czasów Seracenów i o typie prowansalskim bez żadnej skazy. Od dwóch pokoleń należeli do mieszczaństwa w Antibes. Pomiedzy ich przodkami kilku „kapitanów morskich“ wyprawiało się szukać szczęścia

w stronie Indyi; ta żyłka awanturnicza, niepokojąca matki, odzywała się czasami i u następców.

Postępując za procesyą krokami wolnemi, uroczystemi i niespuszczając z oka małego aniołka o czarnych włosach i białych skrzydłach gołębich, wdowa miała głowę myślami zajętą. Było już coś, co niepokoiło tę radość, z jaką nań spoglądała. Czemuż niemożliwem jest to jej marzenie dziecinne i słodkie,—podobne do marzeń, jakie snują wszystkie matki,—zachowania go takim jakim jest w tej chwili: dziecięciem małym o jasnem spojrzeniu i główce obsypanej lokami! Dlaczego czeka nań,—jutro czy w tej chwili, przyszłość... Tyle trudności uśpionych ma się podnieść wkrótce przeciw tej istotce miłej i tak niekarnej, która już teraz, pomimo dziecięcego wieku przybiera minki dorosłego mężczyzny, i która potrafi czasem zniknąć,—niewiadomo gdzie,—aż do wieczora. Co zrobić, aby dziecku temu dać wykształcenie to samo, jakie pobierają bogatsi jego kuzynowie? Czego się spodziewać, w razie gdyby nie chciał pracować pomimo wszystkich ofiar? I matka nie uśmiecha się już i nie widzi ani procesyi białej, ani wesołego słońca, ani uciekającej chwili obecnej; oddaje się cała tej myśli, ciasnej